

TEATR

Co czeka Zdzisia?

Wankiecie, rozdawanej widzom w Teatrze Ochoty, kierowanym przez małżonków Machulskich, a dającym spektakle trzy razy tygodniowo w soboty, niedziele i poniedziałki w Dzielnicowym Domu Kultury przy ul. Reja 9, znajduje się pytanie: „Czy problemy przedstawiane w spektaklu naszego teatru uważa Pan(i) za aktualne dla współczesnego życia?”

Ponieważ Wasz sprawozdawca po raz pierwszy wybrał się do tego bojowego teatru, egzystującego w ramach organizacyjnych Stolecznej Estrady, więc godzi mu się ograniczyć odpowiedź tylko do jednego przedstawienia, tusząc, że, zachęcony nim, będzie tam widzem nie po raz ostatni.

To, co zobaczyłem jako inscenizację tekstu Czesława Dziekanowskiego „Aby przejść w pion” w wykonaniu Małgorzaty Pritulak i Jana Kulczyckiego, a w reżyserii Zdzisia Wardenja i scenografii Anny Rachel, jest teatrem w naszych warunkach nietypowym. Jest to przedstawienie, które ogólną tendencję zbliżenia widzów ze sceną posuwa o duży krok naprzód. Zawiazywanie dyskusji widzów z artystami, inscenizatorami i autorami po przedstawieniu to rzecz nienowa, ale uczynienie z tego niejako połowy spektaklu to już nowina. Bo reżyser i autor postarali się, żeby dialog z widzami zmienić w żywą rozmowę.

Warto czasem przyjść na takie przedstawienie, w którym widz ma prawo trochę się wygadać i wynęczyć, a nie tylko słuchać i medytować.

BYŁO zaś, przynajmniej tym razem, o czym. Pierwsza część spektaklu czyli ekspozycja polegała na dwu kolejnych monologach. Naprzód Kulczycki zagrał, ze znakomitą wcieleniem się w postać, początkującego spawacza metali. Przystając się w młodego wykwalifikowanego robotnika, który otrzymał pierwszą swoją pracę, zwierzał się z zaskoczeń, zmagań, kłopotów i rozpaczy, które czatują na frajera, gdy wchodzi w świat fuchy, lipy, kantów i nadużyć, a jest jeszcze nie spaczony, spodziewa się uczciwej, porządnej roboty.

Po tym monologu nastąpił monolog drugi: dziewczyny wchodzącej w życie. Ta dziewczyna i ten chłopiec chodzili z sobą jakiś czas, zamierzali się nawet pobrać, ale do małżeństwa nie doszło, w pewnej mierze z po-

wodów warunków egzystencji (pracowała w innym mieście, mieszkania nie dostali), w pewnej mierze z powodów subiektywnych — niezdecydowania się na większe ryzyko.

Dziewczynę zagrała zachwycająco Małgorzata Pritulak, naśladując prowincjonalną głuptaszkę, której życie wewnętrzne streszcza się do listów miłosnych, rozmyślenia o gniazdku i piosenek z płyt. Bidulka, słuchając ich i śpiewając, czuje się Amerykanką z bajki, albo panią z rodzimego dolce vita, do którego w życiu nie ma żadnego dostępu. Dwoje biednych dzieciuchów, które u startu życia doznają bolesnych ciosów od rzeczywistości.

PO tych dwu monologach Zdzisia i jego dziewczyny następuje podrezyserowana dyskusja z publicznością. Tematem staje się dalszy los pary. Zaiste nie było pudła w założeniu artystycznym, skoro wszyscy dyskutanci, a raczej rozmówcy, mówili o parze bohaterów, jakby to były osoby prawdziwe, a nie literackie.

To duży tryumf autora, a nie mniejszy wykonawców, jeżeli postacie fikcyjne (choćby wzorowane na jakichś modelach) potrafią tak zaabsorbować dyskutujących. Rozmówców nurtowało pytanie, czy takich dwoje (a więc i legiony im podobnych) zdoła życie swoje i otoczenia uczynić wartościowym, czy też ulegnie rozprężeniu w spotkaniu z nieuczciwością? Widać autor i artyści uderzyli w sedno naszych niepokojów.

JERZY ZAGÓRSKI